Maj, 1929 r.

Nr. 2. Rok I.

Miesięcznik Młodzieży Państwowego Gimn. im. St. Konarskiego w Mielcu.

DZIEWANNA.

Cena egzemplarza 50 gr.— Prenumerata roczna 5 zł. kwartalna 1·25 gr.

„Słowo w czyn zamienić!“
C.K. NORWID.

Wojciech Skuza.

RAZ W ŻYCIU.

(O Powszechnej Wystawie Krajowej).

Tylko żywi dają znać o sobie otoczeniu. Życie społeczeństwa ujawnia się w ciągłym rozwoju kultury sztuki, przemysłu i handlu. Że tak jest, świadczy o tem choćby fakt, że Polska, przez szereg lat wykreślona z karty dziejowej, przez wielu uznana za martwą zniszczoną — jednak żyła. Życie jej wołało o wolność przez czyny zbrojne, literaturę i organiczną pracę. Prace swoje od czasu do czasu pokazywało społeczeństwo polskie w wystawach, które obrazowały całokształt wysiłków i dzieł dokonanych przez naród we wszystkich niemal dziedzinach życia.

Wystawy o dzisiejszym charakterze zapoczątkowane zostały przez artystów francuskich w w. XVII-ym. Pierwszą wystawę, która miała dać obraz gospodarstwa krajowego i zachęcić społeczeństwo czeskie do walki z przemysłem pruskim — urządzili Czesi w r. 1791. Potem już urządzały wystawy także inne państwa, na czele których stanęła Francja. Nowy rodzaj wystaw o charakterze międzynarodowym — zainicjował Londyn swoją wystawą w 1851 r. Za jego przykładem urządza wystawę New-York, Paryż w 1878 r. i 1900 r. oraz Chicago w r. 1893 Przed kilku laty głośno było o wielkiej brytyjskiej wystawie pierwszej międzynarodowej po Wojnie Światowej urządzonej w Wembley (1924—25).

Społeczeństwo polskie zaboru rosyjskiego, mimo uciążliwej niewoli, zdobyło się na Wystawę Przemysłową w Warszawie w r. 1841, przemysłowo-rolniczą w r. 1904. w Częstochowie, rzemieślniczo-przemysłową w 1912 r. w Łodzi, oraz szereg wystaw Śląskich, ogrodniczych, metalowych, archeologicznych i innych. W zaborze austrjackim urządziło Towarzystwo Gospodarskie Wystawę bydła i narzędzi rolniczych we Lwowie w 1849 r., a w r. 1877 odbyła się tamże wystawa obejmująca życie dzielnicy pod względem społeczno-gospodarczym i kulturalno-oświatowym; za przykładem pierwszej wystawy we Lwowie urządził wystawę w r. 1888 Kraków, a poprzednio Tarnów, Rzeszów, Tarnopol, Stanisławów, Złotów, Podhajce, Przemyśl i Nowy Sącz.

Po odzyskaniu niepodległości urządzono w państwie polskiem cały szereg wystaw, związanych z poszczególnemi dziedzinami życia gospodarczego i kulturalnego społeczeństwa.

Rozwój życia kulturalnego i ekonomicznego Polski po odzyskaniu niepodległości poszedł w szalonem tempie naprzód. Jeśli się weźmie do ręki wykazy statystyczne, lub nawet jeśli się tylko pomyśli co nowego Polsce przyniosło tych dziesięć lat wolności — to, naprawdę, człowiek stanie oczarowany. Imponujący nasz dorobek pierwszego dziesięciolecia może służyć za przykład, do czego prowadzi rzetelna praca całego społeczeństwa. Ciekawe będzie dzieło p. t. „Bilans gospodarczy Polski Odrodzonej“, opracowywane obecnie przez pierwszorzędne siły naukowe i fachowe. Ale nam nie trzeba szukać po księgach zdobyczy dziesięcioletniej pracy — wystarczy nam być na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, gdzie zobaczy się naocznie samo jej bujne, bogate życie gospodarcze i kulturalne. Inicjatorem P. W. K. był w r. 1924. p. Cyryl Ratajski, zasłużony prezydent m. Poznania. Początkowo miała to być wystawa samego tylko Poznania, ale później, kiedy nad wystawą poznańską objął protektorat Pan Prezydent Ignacy Mościcki, a cały naród poparł ją

czynnie — przemieniła się w Powszechną Wystawę Krajową.

P. W. K. obejmuje teren 600.000 m², który zaczęto rozbudowywać od r. 1927. Praca ta szła, „po amerykańsku". Stanęły olbrzymie, przepiękne i stylowe gmachy, wykonane w żelbetonie i cegle. Cała Wystawa dzieli się na cztery wielkie działy: kultury i sztuki, gospodarstwa narodowego, wychowania fizycznego i sportów, oraz emigracji. W poszczególnych tych działach zobaczy się wszystko, począwszy od prymitywnych drobiazgów, a skończywszy na dziełach ogromnej wartości artystycznej, na kolosach i machinach. — Aby urozmaicić zwiedzanie wystawy i dać możność wypoczynku, zorganizowała Dyrekcja Wystawy na europejską skalę urządzone t. zw. „wesołe miasteczko", w którem człek ujrzy wszystkie zabawy i przyjemności, o jakichkolwiek słyszał i marzył. Zwrócić należy uwagę, że Dyrekcja Wystawy stara się, aby ceny wszystkiego były jaknajniższe i jaknajprzystępniejsze. P. W. K. otwarta dn. 16 maja b. r. — trwać będzie do 30. września 1929 r.

Znaczenie P. W. K. jest bardzo wielkie. Już Karol Gide, znakomity ekonomista francuski, w swych studjach nad Wystawą Paryską (1900) doszedł do wniosku, że „historja ekonomji społecznej jest poniekąd związana z historją wystaw". Twierdzenie to zostało udowodnione faktami. Boć każda wystawa cel swój osiągnęła. Jedne wyrugowały wyroby obcego przemysłu z kraju, inne podniosły znaczenie przemysłu krajowego zagranicą, a jeszcze inne zwalczyły silnych konkurentów i dały podwaliny narodowej gospodarki. Oto np. o wystawie paryskiej 1798 r. pisze Fr. de Neufschateau, że „była to pierwsza kampanja dla przemysłu angielskiego".

Jakie cele i zadania ma P. W. K. — to przedstawił w referacie, odczytanym na ogólno-krajowej konferencji prasowej Dyrektor Wystawy p. St. Wachowiak. Wystawa — powiedział on — da Polsce możność wypowiedzenia się wobec całego świata „Rząd Rzeczypospolitej do udania się pierwszej w wolnej Polsce P. W. K. przykłada wagę ogromną. Już dziś można stwierdzić, że Wystawa wpłynie na bilans płatniczy, już dziś nie ulega wątpliwości, że podniesie ona konsum wewnętrzny, spotęguje produkcję wzmoże eksport. A ponadto ma ona cel ideowy: na zewnątrz propagandę dla Polski, na wewnątrz scementowanie wszystkich ziem polskich, które zbiorowym pokazem swej wytwórczości dowiodą, że Polska tworzy pod względem kulturalnym, gospodarczym i politycznym jedną nierozerwalną po wszystkie czasy całość".

Cel swój i zadanie spełni P. W. K. wówczas, gdy zobaczy ją kraj cały i gdy ją odwiedzi jak największa ilość gości zagranicznych. Ze wszystkich stron Polski i ze wszystkich stron świata ciągną na P. W. K. wycieczki. W celu umożliwienia zwiedzenia P. W. K. jak najszerszym masom — Ministerstwo Komunikacji ustanowiło zniżki dla osób, jadących na P. W. K. osobom jadących pojedyńczo — przysługuje zniżka o 33 proc. kl. I, II, i III, (bilety powrotne bez żadnych zaświadczeń). Dla grup (conajmniej 10 osób), organizowanych przez Związki i Stowarzyszenia — zniżka 50 proc., kl. I, II, III. Dla wycieczek młodzieży szkolnej, burs, zakładów dobroczynnych etc., na podstawie zaświadczenia władz szkolnych — zniżka 66 proc. kl. I, II i III. W odwiedzeniu P. W. K. weźmie żywy udział i nasze miasto. Z Mielca są zapowiedziane wycieczki na P. W. K. przez Gimnazjum, Seminarjum Żeń. (równocześnie wycieczka do Gdyni), Ochotniczą Straż Pożarną, Tow. Gimn. „Sokół", Związek Młodzieży i „Chrześcijańskie Zjednoczenie Mieszczan". A więc jest poco jechać i jest możność wyjazdu na P. W. K dla każdego. Zwiedzenie takiej wystawy przyniesie nam bezprzecznie ogromną korzyść. Nie zaniedbujmy się więc i wykorzystajmy tę chwilę, bo kto wie, czy w życiu naszem spotkamy się jeszcze z podobną okazją!

EUKLIDES PRZED TABLICĄ...

— W matematyce tkwi nieskończone piękno, ale — jak mówi znakomity matematyk Gauss (1777—1855) — „czar tej subtelnej nauki objawia się w całem swem pięknie tylko tym, którzy mają odwagę ją zgłębić". Jeżeli Goethe powiedział o gotyckiej katedrze, że jest ona „muzyką stężałą", to J. W. A. Young współcz. matematyk angielski, poprawia go, mówiąc że gotyk to „skamieniała matematyka" (petrified mathematics). A Mittag Leffler orzeka, że „najlepsze dzieło matematyka jest dziełem sztuki, sztuki wzniosłej, doskonałej, śmiałej, jak najbardziej skryte marzenia wyobraźni jasnej i przezroczej, jak myśl oderwana".

— W średniowieczu matematyka — „ars mathematica" — uchodziła w oczach zabobonnego pospólstwa za magję czarnoksięską, a matematykom, którzy bywali zarazem astrologami, przypisywano współdziałanie z siłami nieczystemi.

— Taki, co to „do trzech zliczyć nie umiał“ i myśli, że już jest hebes w matematyce i Euklidesem nie zostanie, niech się pocieszy tem, że wielcy matematycy, jak Newton, Poisson, Kummer i inni, bardzo kiepsko liczyli i „nie umieli dodawać“. — Wyda się komuś paradoksem stwierdzenie faktu, że największą liczbą, jaką może operować matematyk, jest 5. Ma to swoje podłoże psychologiczne, że człowiek bardzo nawet bystry i uważny jest zdolny objąć odrazu wzrokiem i rozpoznać zaledwie 4 do 5 przedmiotów, nie rachując ich i nie układając w łatwe do zapamiętania zbiory (takim jest np. t. zw. „quincunx“ z 5 oczek w kartach do gry).

— Już nie pomnę, o którym to profesorze matematyki opowiadają, że rozmyślając ustawicznie nad zagadnieniem kwadratury koła, stał się do tego stopnia roztargniony, iż pewnej nocy, gdy trzeba było udać się na spoczynek, zgasił siebie i palącą się świecęj ułożył wygodnie w łóżku...

PIOTR CZEREP (VIII).

STANISŁAW KRYCZYŃSKI.

Śmierć.

Krwawym, jesiennym lasem szła śmierć, czerwona [zbrodniarka,
wlokąc kościec schorzały przez liści opadłych gęstwę —
aż utrudzenia wyrósł przed nią okrutny parkan —:
więc nad wodą usiadła z suchym, kościanym chrzęstem.

Po koralowem dnie płynął bystry, przejrzysty potok —;
zbrodniarka wody zaczerpnąć chciała - bardzo łaknąca —
ale przez palce krople przeciekły, jak przez rzeszoto —:
więc zapłakała, patrząc, jak strumień o brzegi trąca.

I płakała wciąż gorzko — łzy się perliły po żebrach,
plamiąc rdzawo piszczele, bo ciekła krew z dołów pustych -
aż wyszła z boru Madonna, cała w złocie i srebrach,
i — kojąc — śmierć cudownemi ucałowała usty.

St Rossowski (VII).

ŚLĄSK I ŚLĄZACY.

Nad brzegiem Odry leży kraina zamieszkana od zamierzchłych czasów przez plemię słowiańskie. Ziemia zasobna we wszystkie skarby kopalne, bogato od natury uposażona, oddana wyrokiem dziejów pod przemoc cudzą. Naturalną granicą Śląska są góry Sudety; kraj przecięty linją Odry, wzdłuż której ciągnie się żyzna dolina, skrapiana wodami licznych dopływów odrzańskich. Pomiędzy Sudetami a Karpatami, stanowiącemi dalej naturalną granicę Polski i Słowaczyzny, jest wąskie, ale dogodne przejście, noszące nazwę „Bramy Morawskiej“. Łączy ona dorzecze Odry z dorzeczem Wisły i Dunajem. Prowadziła tędy już w najdawniejszych czasach wielka droga handlowa, będąca zarazem szlakiem, którym wkraczała na ziemie słowiańskie cywilizacja zach. Wyżyna górnośląska jest to jedna z wyżyn południowej Polski; sama natura przeznaczyła te kraje do współżycia z Polską.

Tymczasem zaś polityka rządu pruskiego pragnęła wszelkiemi sposobami odłączyć swoją zdobycz od jej macierzy; w tym celu podzielono Śląsk na trzy regencje: Wrocławską, Lignicką i Opolską, stosując w każdej z nich pruskie osławione sposoby wynaradawiania. Najsilniej oparła się Prusakom regencja Opolska, bezpośrednio przyległa do ziem polskich. Ludność polska, katolicka liczyła tam 90 proc. ogółu mieszkańców. W zachodniej części kraju mieszka ludność rolnicza, we wschodniej — przemysłowa, robotnicza.

Nad brzegiem Odry widzimy cały szereg bardzo ważnych punktów handlowych i strategicznych, t. j. wojskowo-obronnych. Niemcy uczynili sobie z tej rzeki znakomitą drogę komunikacyjną, a połączenie jej z Łabą pozwalało im na kierowanie transportów aż na wody Antlantyku.

Rozpoczęta przed powstaniem państwa polskiego walka z napierającym na polskość germanizmem trwa z większem lub mniejszem natężeniem, przez cały przebieg dziejów naszych: sięga wstecz czasów bajecznych, gdy z wielkiej rodziny ludów słowiańskich odrębne państwo polskie jeszcze się nie wyłoniło. Kolonizacja, prowadzona przez Niemców na ziemiach słowiańskich była dla rdzennej ludności nieustającym, krwawym chrztem. Takim kolonistą—tępicielem był w wieku X sławny rycerz-margraf Gero. - Szedł odwieczny germański pochód na wschód pod różnemi hasłami. Czasem nazywało się to koniecznością krzewienia pośród pogan chrześcijaństwa, czasem wprowadzaniem wyższej kultury, a zawsze było jeno brutalnem grabieniem cudzego mienia.

Jednakowoż od wieku XI. Śląsk jest ściśle z państwem polskiem związany, a rządzą w nim książęta rodu Piastowskiego. W owych czasach losy Śląska wiążą się jaknajściślej z koleją dziejów naszych. Katedra w Wrocławiu została ufundowana równocześnie z katedrą na Wawelu, po pamiętnej pielgrzymce ces. Ottona III. do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. W epoce Bolesławów krwawe boje Polski piastowskiej z pragnącą ją zniszczyć nawałą germańską toczyły się niejednokrotnie na ziemiach śląskich. Niestety, panujący książęta, wchodząc często w związki małżeńskie z niemieckiemi księżniczkami, słabli w odporze. Jednym z takich stronników Niemiec był w poł. XIII w. — pod wpływem żony swojej, Jadwigi — Henryk Brodaty. W XIII w. Śląsk jest widownią walki między książętami, braćmi: Henrykiem i Konradem. Henryk oblega go na czele rycerzy niemieckich, Konrad broni placówki polskiej z gromadą oddanych sobie kmieci. Knechty, zaprawieni w ciągłych rabunkowych napadach, lepiej uzbrojeni, posiadają ogromną przewagę nad chłopami, którzy też słabną w oporze i zwyciężeni, oblewają krwią ziemię ojczystą, której oddać nie chcieli. Śląsk nie ulega jednak jeszcze wtedy potędze germańskiej: podział na drobne dzielnicowe księstwa, niezgoda panujących przygotowują dopiero upadek jego niezależności. Nim to nastąpi, odgrywa raz jeszcze bohaterską rolę, gdy wpoprzek walącej się na Europę fali tatarsko-mongolskiej staje rycerstwo śląskie pod Lignicą (1241), a dowodzi niem Henryk Pobożny, nieszczęsny sprawca zgonu Konrada, który — według opinij współczesnych — chce w krwi pogańskiej omyć plamę zbrodni. Zginął wraz z 10-tysiącami rycerstwa, ale hordy zostały odparte od bram Europy.

Groźba wynarodowienia nie przestaje nadal ciążyć nad ziemią śląską, spustoszoną najazdem tatarskim i potrzebującą osadników — a tymi byli prawie sami Niemcy. Polska nie może pośpieszyć Śląskowi z pomocą z powodu intryg niemieckich. W chwili, gdy ks. Przemysław zdołał połączyć w jedną całość rozdzielone dotąd księstwa polskie i królem się ogłosić (1295), książęta brandenburscy mordują go podstępem. Następują smutne czasy dla śląskiej dzielnicy; szarpią ją ciągłe rozterki między książętami, którzy nie zrywają jeszcze z Polską, a nie mają dość siły, by się z nią złączyć. Dopiero Władysław Łokietek łączy Śląsk z Polską pod jednem berłem. Nie na długo jednak. Już za Kazimierza W. książęta śląscy wyłamują się z pod władzy króla polskiego, oddając się opiece korony czeskiej (1335), co ich ostatecznie doprowadza w XVI w. do zupełnego uzależnienia od austrjackich Habsburgów, a w połowie XVIII w. — po wojnie siedmioletniej — do niewoli pruskiej. Odtąd jedyną pamiątką łączności Śląska z Polską będą kościoły i klasztory.

Stawiał je na śląskiej ziemicy dziś już niemal legendarny budowniczy świątyń, Piotr, syn Własta, Dunin i osadzał zakonników, którzy krzewili oświatę, łagodzili klęski, jakie niosły ze sobą burzliwe czasy; a byli to mnisi francuscy i włoscy, bo Dunin słusznie obawiał się Niemców nawet w sukienkach zakonnych. Wszystkie dochody ze swoich śląskich, rozległych obszarów, od góry Sobockiej do Odry położonych, obracał Piotr na chwałę Bożą. Ślązak dumny ze swoich wspaniałych świątyń, modlił się jednak najżarliwiej w skromnych, modrzewiowych kościołkach, jego rękami zbudowanych; stanowią one niespożyte pomniki ducha polskiego.

Duchowieństwo polskie, katolickie nie godziło się nigdy na oderwanie Śląska od Polski. W jego zjazdach brali przez długi czas udział dostojnicy kościelni Rzeczypospolitej i odwrotnie. — Południowo-wschodnia część G. Śląska, mianowicie okolice Bytomia, długo należała do diecezji krakowskiej. Nie brakło też dowodów pewnej łączności z Polską i poza dziedziną spraw kościelnych.

Jan Olbracht przed wstąpieniem na tron sprawował urząd namiestnika śląskiego. W XV w. Mikołaj II. Opolski nie używał innego języka, jak polskiego. Klęski Habsburgów w wojnie 30-letniej skłaniają królów polskich do starań o odzyskanie ziemi śląskiej. Dąży do tego Zygmunt III, ale nie doprowadza planów swoich do skutku. Ze smutkiem podnosimy, że gdy

Jan III Sobieski, idąc na odsiecz Wiedniowi, maszerował przez Śląsk, dziwił się w listach do królowej Marysieńki, że słyszał tam wszędzie mowę polską. Do dziś dnia śpiewają na Śląsku pieśni o królu Janie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ST. OLISKIEWICZ (kl. VIII).

PRZED ZAPALONĄ RAMPĄ.

O obyczajach teatralnych w Polsce w początkach XIX. stulecia.

(dokończenie).

A gdy już, już chwytają węgierskiego zbiega, strach i litość na każdej maluje się twarzy, jęk okropnej żałości zewsząd się rozlega i przez sufit płaczących słychać kominiarzy... „(Kraszewski: Polska w czasie trzech rozbiorów, I, Warszawa 1902).

Hałasy i głośne rozmowy przy otwartej scenie były rzeczą zwykłą. Jakiś poczciwy mieszczuch krakowski zamieszcza w „Gazecie Krakowskiej" z dn. 7 lipca 1816 r. charakterystyczny „List do Przyjaciela", w którym się uskarża, że, będąc na „tragedyi" p. t. „Zbójcy Puszczy Hermannstadt", nie mógł uważać, ponieważ jakieś rozbawione grono mopanków, którzy „co do stanu swego ani-by nie mogli być policzonymi do galerji" rozmawiało bardzo hałaśliwie i ze śmiechem. „Byłem ambarasowany, gdzie patrzeć, czy na tragedję, czy na komiczną scenę, a chcac uwagę swoją i tu podzielić, kręciłem głową i naprzód i wtył. Wierzaj mi, przyjacielu, że aż mnie kark boli dotąd po tej podwójnej scenie" (Bąkowski: Kronika Krakowska, Kraków 1905, cz. II).

Częste wrzawy i niepokoje w teatrach warszawskich skłoniły „J. K. Mości Pruskiey Gubernię i Presidium Policyi" do wydania następującego rozporządzenia: „Od niejakiego czasu różne niespokojności na teatrze z nieukontentowaniem postrzeżone zostały. Gdyż niemożna od publiczności żądać, aby przez samowładność niektórych młodych osób cierpiała i w zabawce swojej przeszkodę doznawała, zatym niniejszym obwieszczeniem się oznajmuje: Iż przy każdej Reprezentacji na Teatrze Kapitan komenderowany będzie, któren zlecenie ma na spokojność i porządek baczne dawać oko, jakoteż tych, którzyby przeciwnie sobie postępowali zanotować. A ponieważ niezdejmowanie kapeluszów podczas akcji, niedyskretne pchanie się naprzód i wołanie nadzwyczajne do niespokojności się pobudką staje; więc oczekuje się, że takowe sceny już więcej nie nastąpią i ci zaś, którzyby do tego stosować się nie chcieli, niech sobie sami nieprzyjemne stąd dla nich wyniknąć mogące konsekwencje przypisza. — Dan w Warszawie, dnia 9 stycznia 1798, etc. etc. v. Ruta v. Schimmelfenig". („Gazeta Korespondenta Warsz. i Zagran., Warszawa 1798, Nr. 3).

Ale nietylko publika zasługiwała na policyjne upomnienie. Dostawało się i aktorom, którzy pozwalali sobie niekiedy na wybryki i swawole, wstawiając swoje własne słowa do roli — często złośliwe, aktualne aluzje. Celował w tem zwłaszcza słynny komik, Alojzy Żółkowski. Pewnego razu dostał Żółkowski burę od W. Ks. Konstantego właśnie za samowolne przeróbki tekstu granej sztuki. Następnym razem w sztuce, w której grał Żółkowski, na scenie pojawia się koń który pozostawia na deskach wyraźne ślady swej bytności. — „Panie koniu!" — woła oburzony artysta — proszę nie robić niepotrzebnych dodatków bo J. Ks. Mość bardzo się będzie gniewał!" — Roześmiał się rudy tyran i puścił to płazem Żółkowskiemu. Działo to się w latach przed powstaniem listopadowem. Że już wcześniej artyści dramatyczni mieli zwyczaj czynienia „dodatków", dowodzi reskrypt dyrektora policji krakowskiej, Mieroszewskiego, wydany dn. 7 lutego 1811 r. „Gdy w teatralnej reprezentacji na d. 15 bm. zdarzyło się, iż niektórzy z artystów dramatycznych, zapomniawszy obowiązków swoich poważyli się miejsca z sztuki wymazane powtarzać, a nawet i dodawać sceny, których sama przyzwoitość wzbraniała, przez co uchybili Szanownej Publiczności i Zwierzchności miejscowej, Urząd Policyjny ma sobie za obowiązek oznajmić Szan. Publiczności, iż winnych do odpowiedzi pociągnął; tuszy zaś sobie, iż artyści dram., których zamiarem jest podobać się i zyskiwać Jej poklaski, przyszłem postępowaniem zasłużą sobie na zapomnienie tego ich wykroczenia". (Bąkowski, op. cit., cz. I.)

Bywało, że po spuszczeniu kurtyny aktorzy zostawali przed zasłoną i bawili „szanowną publiczność" rzekomem „roztargnieniem" i dość płaskiemi konceptami. (Coś podobnego zachowało się do niedawna w rosyjskim teatrze ludowym. Brandes („Rosja", Lwów. 1905) opisuje takiego aktora — błazna, zwanego „starikiem", który siedząc na galerji, otaczającej na zewnątrz teatr, bawi niewybredną publikę naiwnemi dowcipami, w rodzaju: „Ej, wy tam, nie zapomnijcie

zdjąć butów, gdy idziecie spać w nocy!"). Charakteryzacja artystów była nadwyraz licha. „Gotowalnia teatralna zasługuje także na moją wzmiankę — pisze sprawozdawca „Pszczółki krakowskiej" (Nr. 34) z 1820 r. — Mowa tu jest o nadużyciu bielidła, lecz nie ściąga się do artystek. Na mężczyzn to powstać musimy!... Jeden z nich tak sobie niemiłosiernie twarz zbielił, że nos jego zdawał się być z gipsu przyprawionym. Szybka odmiana ubiorów i charakterów usprawiedliwia po części to uchybienie; przecież go nie upoważnia" (Bąkowski, op. cit. cz. II). — Dekoracje i rekwizyty także pozostawiały wiele do życzenia. W czasie wystawiania komedji Bogusławskiego p. t „Henryk VI na łowach" w teatrze krakowskim w 1817 r — „przez cały ciąg aktu trzeciego powiewał urwany sznurek od zasłony". (Gazeta Krak. Nr. 97, 3 grudnia 1817 r.).

Ciekawe szczegóły do historji teatru w Polsce zostawił Ludwik Jabłonowski w swoich świetnych pamiętnikach, wydanych p. t. „Złote czasy i wywczasy", w których żywo opisuje teatr we Lwowie, artystów itd. Na podstawie jego wspomnień spróbujmy zrekonstruować wygląd teatru polskiego w początkach XIX stulecia. — Mroczna sala teatralna, skąpo oświetlona nędznemi, skwierczącemi łojówkami. Galerja „pod jaskółką" czyli t. zw. paradyz i „loże" z desek sklecone, do których po drabinach się włazi, dygocą od od niemilknącego brawa rozbawionej lub wzruszonej publiczności, która wywołuje głośno swoich ulubieńców — artystów, płacze z nimi i śmieje się, gdy oni się śmieją. Między aktorami a widzami zadzierżga się węzeł współodczuwania, współżycia duchowego Nic dziwnego, że publiczność kochała i uwielbiała niektórych artystów. Pewnego dnia Benda, lubiany i ceniony artysta lwowskiego teatru, dziwnie blady był i zdenerwowany na scenie. Publiczność zrazu zdziwiona, ale wnet poczyna krążyć z ust do ust wieść, że żona Bendy — także aktorka — na śmiertelnej pościeli leży. — „Benda, do żony!" — poczyna wołać publiczność i każe mu zejść ze sceny, nie pozwalając dokończyć roli.

Tak, były to naprawdę „złote czasy" teatru polskiego.

Koniec.

WOJCIECH SKUZA.

(Z cyklu: „Romantyka myśli".)

Sen o Norwidzie.

Rozmiłowałem się w Tobie, Mistrzu wiekuisty,
w ciągłej przemianie Twojego żywota —
do snu kołysze mię cud Taboru — — —
tonę w Twej myśli, a harfa złota
gra romantyczne pieśni sporów,
w wiekowy bezczas staczam się z Tobą w śnie [złocistym —
— Noc — — — duch — — — sen
Wstajesz Ty sam! — senny, wpatrzony w twarz wybladłą,
czytam cierpienia, co trysną — — —
czuję potęgę i chylę czoło — a serce woła:
— Mistrzu, dopomóż młodym snom,
przemień i wstrząśnij — wznieś hymn — „nie zdołam" —
— dwunasta bije — — — nocnieje widziadło
i szemrze cisza wybladłym głosem,
noc promienieje — coraz się cieśnią ściany,
zabłysły dźwięki — i słyszę rosę,
jak przed Twym duchem szepce: „przemiany—zmiany"
— noc — duch — sen —
Nagle wrzeciądze świata opadły,
gra melancholji las pieśni smętne,
powstaje Mistrz, on — nieodgadły —
z siekierą w ręku staje do pracy świętej
— za chleb — na szary, codzienny chleb — na życie —
— uderzył raz — — —
a w bezprzestrzeni tonie pieśń z pieśni byciem,
kłóci się las:
— „zaczął-że on — uderzać w ton?"
bo oto echo miesza się jeszcze z stukiem trumiennym,
dźwięczy nędzarza — obczyzny serce-stal:
„Ideał sięgnął Bruku" — a wieki szemrzą — niezmienny
— artysta — Polak, rzeźbiarz — poeta — drwal — — —
wyciągam dłonie — „Mistrzu, toś Ty, ten — — —
wstrząsła się ziemia i zapadł złoty sen — — —
Ponad stężałą w cieśni powieką
zastygła noc — widnieje dwu-róg blado-złocisty,
z lękiem rozłkany duch szepce wiekom:
— Rozmiłowałem się w Tobie, Mistrzu wiekuisty! —

Tadeusz Illukiewicz (VI).

Morze.

(Nowela).

W porcie Dover w szeregu transoceanicznych kolosów stał wielki okręt, na którego stalowych bokach widniała wypisana dużemi białemi literami nazwa „Washington."

Na pokładzie statku trwał gorączkowy ruch.— Ludzie biegali pospiesznie tam i z powrotem, rozmawiali i nawoływali się, a potężny żóraw dokowy ze zgrzytem władowywał na okręt ostatnie pakunki.

Za kilka chwil bowiem kolos ten miał puścić się w daleką podróż do Indyj.—Kapitan jego, młody, wysmukły „wilk" o kruczych włosach i modrych, jak toń morska, oczach przyglądał się przedwyjezdnym przygotowaniom ze smutkiem w źrenicach i zadumą na czole. Tyle razy puszczał się w podobne podróże, a przecież nigdy nie było mu tak dziwnie smutno rozstawać się z lądem . . . Zadumę kapitana przerwał oficer z meldunkiem, że wszystko do odjazdu gotowe. Po kilkunastu minutach zahuczała niesamowicie żałośnie i ponuro syrena okrętowa. Ze zgrzytem podnoszono kotwice i mostki, łączące okręt z kamiennym bulwarem. Padały ostatnie słowa pożegnań, poleceń i życzeń szczęśliwej drogi.

„Washington" zadygotał w jakimś dreszczu i powoli zaczął odbijać od brzegu. Przestrzeń morza, oddzielająca okręt od lądu stawała się coraz większa, aż w końcu ludzie, znajdujące się w porcie, zaczęli się wydawać drobnemi, ruchliwemi żyjątkami. Okręt, minąwszy i pozdrowiwszy rykiem syren kilka statków, powracających do portu, wypłynął na pełne morze. Coraz to bardziej malały zarysy portowego miasta, zlewały się w jedną szarą plamę, wkońcu widoczne były już tylko szczyty wieżyc, aż wreszcie wszystko rozpłynęło się w sinej mgle.

Młody kapitan stał na swojem stanowisku i posępnie patrzył wokoło siebie. Gdziekolwiek spojrzał— nic, jeno straszliwy bezkres oceanu . . . Teraz dopiero przyszło mu na myśl. że ten kolos okrętowy wobec ogromu oceanu jest drobną łupiną, a on sam marnym pyłkiem. Patrzył ciągle w mgłę, za którą zniknęła ziemia, odczuwając straszną tęsknotę za nią; dopiero teraz zaciężyła mu wielka odpowiedzialność, którą dźwigał na swoich barkach. Zdawało mu się, że ugnie się pod jej ciężarem i nie podoła trudowi obowiązku. Zaciął jednak zęby i postanowił sobie twardo stawić czoło wszystkim niebezpieczeństwom. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Czerwona tarcza powoli zniżała się ku morzu; woda zabarwiła się purpurą, a w blaskach zachodzącego słońca mieniła się tysiącem barw. Słońce zapadało się zwolna w wodę, aż znikło z horyzontu, a na morzu pozostała jeszcze przez dłuższy czas purpurowa smuga, znacząca miejsce zachodu. Woda stawała się coraz bardziej błękitna, potem granatowa, wreszcie przybrała kolor niemal czarny. Na firmamencie zajaśniały pierwsze gwiazdy, a we wschodniej części nieba ukazał się blady i majestatyczny księżyc, złocąc poświatą swoją rozedrgane fale morskie. Teraz woda zmieniła się w lawę roztopionego złota. Morze było spokojne i tylko lekki podmuch wiatru marszczył jego powierzchnię.

Pierwsze dni podróży upłynęły w największym spokoju. Czwartego dnia jednak niebo poczęło pokrywać się chmurami, a morze burzyć się i coraz silniej kołysać statkiem. Chmury nadbiegały szybko, czerniały coraz bardziej, aż wreszcie grom ponurym hukiem zamącił ciszę.

Rozpętały się żywioły. Gromy biły jeden po drugim, a huczące lwim rykiem bałwany raz po raz zalewały pokład okrętu. Burza z każdą chwilą stawała się gwałtowniejsza.

Wśród podróżnych na „Washingtonie" zapanował zamęt i trwoga. Załoga wszystkiemi siłami starała się zmniejszyć niebezpieczeństwo, grożące statkowi, przez utrzymanie go na oznaczonej drodze. Kapitan ociekający wodą, z rozwianym włosem, chwiejąc się na nogach, wydawał rozkazy ochrypłym głosem; z postaci jego bił nadziemski spokój i odwaga. Daremne jednak były wszystkie wysiłki. Statek pędzony nawałnicą poprzez bezmiar rozszalałego morza, gnał ku niechybnej zagładzie—ku pobliskim skałom, co jeszcze bardziej zwiększyło trwogę. Rozdźwięczały się anteny radjotelegrafów, wysyłając w cały świat depesze S.O.S. proszące o ratunek. Cóż, kiedy żaden okręt nie był tak blisko, aby mógł na czas pospieszyć z pomocą nieszczęsnemu „Washingtonowi" . . . Kapitan, jak mógł, pocieszał zrozpaczonych podróżnych, którzy, zgromadziwszy się we wspólnej sali, czekali w zdenerwowaniu i niepewności na dalszy tok wypadków. Mijały minuty i godziny. Nagle dał się sły-

szeć silny trzask, okręt wstrząsł się i przechylił się gwałtownie na bok. Zaczął tonąć.

Ostatnią nadzieją podróżnych i załogi były teraz tylko łodzie ratunkowe, które z wielkiem trudem załoga zdołała spuścić na rozszalałe wody. Zapanowała nieopisana panika i zamieszanie; wszyscy chcieli pierwsi znaleść się w łodziach.

Nawpół oszaleli ludzie przewracali i tratowali się wzajemnie. Z trudem kapitan zdołał zaprowadzić jaki—taki ład, tak, że ostatecznie wszyscy posażerowie i załoga pomieścili się w łodziach. Czekano tylko na samego kapitana. Ten oparłszy się o poręcz burty, patrzył spokojnie, z lekkim odcieniem smutku w oczach, na łódź, ale na nalegania, by wsiadł do szalupy, odpowiedział stanowczo, że na okręcie jest jego stanowisku i tu pozostanie. Bo czyż może naże narażać tych wszystkich, którzy byli mu powierzeni, na niechybną zagładę, gdy wsiądzie do przeciążonej łodzi? A zresztą, czyż on, komendant posterunku, ma uciekać z niego, jak tchórz? Nie—pozostanie na statku i tu, na swoim stanowisku, chlubnie zakończy życie.

Nie pomogły błagania i nalegania marynarzy. Rozszalałe morze odepchnęło łódkę od okrętu i kapitan pozostał sam jeden na tonącym okręcie. Z niepokojem, nie o siebie, lecz o dalsze losy rozbitków, obserwował oddalające się łodzie. Według jego obliczeń powinni wszyscy się uratować, ponieważ droga ta była licznie uczęszczana przez statki.

„Washington" przechylał się coraz gwałtowniej na bok i począł już zachłystywać się wodą, która sięgała coraz wyżej i wyżej. Kapitan jeszcze raz powiódł wzrokiem po rozszalałem morzu i z trwogą w sercu o los podróżnych patrzył na bezsilną walkę łodzi ratunkowych z żywiołem. Woda sięgała już do nóg kapitana. Fale z hukiem jęły zalewać cały statek, zatapiać, aż wreszcie ogromny okrętowy kadłub pogrążył się w toni, tworząc na powierzchni morza wielki lej wiru. Jeszcze od czasu do czasu widać było kapitana walczącego ostatkami sił z falami, aż wreszcie wszystko znikło.

Morze dokonawszy dzieła niszczycielskiego, z szumem i rykiem spieuionych fal, przewalało dalej swoje wody. W głębinie morskiej spoczął zdruzgotany kolos oceaniczny, a zarazem z nim—ów heroiczny bohater prostego obowiązku— kapitan okrętu . . .

Koniec.

WŁADYSŁAW KRYCZYŃSKI

Lutnia i lutniści renensansowi w Polsce.

Historja lutni nie jest nam dobrze znana. Wprawdzie dość często, lecz nieściśle, nazywają tak grecką siedmiostrunną lirę, ale właściwą kolebką tego pięknego instrumentu był prawdopodobnie arabski Wschód, skąd w średniowieczu za pośrednictwem Krzyżowców przywędrował do Europy zachodniej. Tu, mimo pewną nieporęczność, jaka nastręczała konieczność ciągłego nastrajania, stała się lutnia w dobie renesansu jednym z najpopularniejszych instrumentów szczególnie wśród szlachty używanym. Przy akompanjamencie lutni tańczono i śpiewano, a więc odgrywała ona rolę naszego fortepianu. Wygląd lutni z XVI w. wykazuje podobieństwo do gitary albo mandoliny dzisiejszej. Jest to pudło rezonansowe, obciągnięte w części tylniej skórą bębenkową. Początkowo miała lutnia tylko 4 struny, potem 11, z czasem zaś liczba strun, pospinanych w trzech główkach, doszła do 22. Był to instrument wybitnie akompanjamentowy; stosownie więc do jakości rejestrów wokalnych rozróżniano w XVI stuleciu siedm rodzajów lutni.

Lutnistów w Polsce w XVI i XVII w. nazywano „lutnikami", „lutenistami" lub „lutenicami". Umiejętność gry na lutni była jednym z koniecznych warunków wykształcenia szlachcica polskiego. Tak więc w swoim „Żywocie człowieka poczciwego" chce Imć Pan Mikołaj Rey z Nagłowic, aby chłopię szlacheckie umiało „i poszermować i poskakać i na luteńce pograć" Również według Łukasza Górnickiego renesansowy dworzanin polski winien posiadać tajemnicę kunsztu gry na lutni. Ale w przeszło pół wieku później Jakób Sobieski w „Instrukcji" dla synów swoich (1640) uważa już naukę gry na lutni za rzecz bezcelową: „także jeśliby który z was chciał się na lutni uczyć grać, albo na jakim instrumencie, i to na wolę waszą puszczam, jeśli który z was będzie miał do tego ingenium; ale ja się przyznam, żebym żałował tego czasu, cobyście na tem błazeństwie strawili."

Lutnia była w XVI i XVII w. synonimem poezji Jeżeli Kochanowski woła: „wdzięczna lutni moja!" — a późniejszy poeta pisze „Lutnię rokoszańską", to nie jest to tylko czczą przenośnią poetycką. Poeci rzeczywiście grywali na lutni i deklamowali swoje utwory przy dźwięku tego instumentu; wiedział o tem Matejko,

gdy w swoim obrazie umieszczał lutnię obok Kochanowskiego, pochylonego nad zmarłą Urszulą. Wespazjana Kochowskiego współczesny wizerunek przedstawia z lutnią w ręku „Granie na lutni i układanie wierszy — pisze Stefan Bartalus (Węgry współcz. Muzyka i muzycy u Węgrów. 1886) — było nierozłączną rzeczą u poetów węgierskich, nawet na początku bieżącego (t. j. XIX) stulecia".

Oprócz poetów, byli także zawodowi mistrzowie gry na lutni. W dobie Odrodzenia każdy większy dwór posiadał ich kilku przynajmniej; np. taki hetman Tarnowski w XVI w. miał w kapeli swojej 4 lutnistów. W wieku XVI-ym na dworze Zygmunta Augusta przebywał najsłynniejszy lutnista w Polsce, WALENTY BEKWARK (Bacfark, Gref), Węgier siedmiogrodzki, którego grę współcześni wynoszą pod niebiosa. Bo też Węgry słynęły jako ojczyzna znakomitych lutnistów. Tam już w średniowieczu spotykamy „trufatorów", t. j. śpiewaków-lutnistów religijnych; z czasem jednak popadli oni w niełaskę kościoła, który orzekł: „Mimis, histrionibus, fistulatoribus, lutinistis de elemosina Christi quae pauperum est, non tribuant" (Aktorom, komedjantom, piszczkom i lutnistom nic się udzielać nie będzie z mienia Chrystusowego, które należy do ubogich). Galeotti, bibljotekarz króla Macieja, powiada, że śpiewacy i muzykanci królewscy „podczas uczty głoszą czyny bohaterów w języku ojczystym z towarzyszeniem kobozu-lutni". Nic więc też dziwnego że najsławniejszym polskim lutnistą był Węgier z pochodzenia. — Lutnistą na dworze Samuela Zborowskiego, tego samego co to gardło dał w 1584 r., był WOJCIECH DŁUGORAJ (Wojtaszek), który był także kompozytorem. Jego utwory na lutnię, „Fantazja" i sześć wilaneł włoskich — zostały umieszczone w zbiorze Besarda p. t. „Thesaurus harmonicus" (Kolonja, 1603). — Nadwornym lutnistą Stanisława Kostki, podskarbiego ziem pruskich był Włoch wenecki, DIOMEDES CATO, niepospolity wirtuoz i celny śpiewak, którym współcześni zachwycali się i uwielbiali. Potrafił on zaskarbić sobie takie przywiązanie i łaskę swego chlebodawcy, że ten, umierając, testamentem uczynił mu zapis 10 000 złp., i prosił króla Zygmunta III, aby po jego śmierci zajął się losem artysty. Tak się też stało. Od króla pobierał Cato pensję roczną 300 złp., nie licząc wynagrodzenia tygodniowego po 6 złp. (Karasowski: „Wojciech Sowiński i jego słownik muzyków polskich". Książka zbior. 1862). Najważniejsze z jego licznych kompozycyj to: „Rytmy Stan. Grochowskiego z nutami i tabulaturą muzyki na lutnią Diomedesa" (Kraków 1606) oraz „Pieśń o św. Stanisławie" (Kraków, 1607).

Tradycja lutni, instrumentu akompanjamentowego do śpiewu, dotrwała do dzisiaj w nazwach wielu towarzystw śpiewaczych „Lutnia", ale najczęściej nie wie się już dobrze, czem właściwie ta lutnia była.

Józef Piechota (VI)

Burza w lesie.

Zahuczał wichr i drzewne zgięły się korony.
W stuletni dąb, wysoko sterczący nad lasem,
Trzasł piorun. Padł dąb, łamiąc konary z hałasem.
I huczał grzmot potężny, burzy zew szalony.

Z czarnych chmurzysk nad borem deszcz pociekł rzęsiście,
I wodą zachlupały śródleśne kałuże.
Las cały się obmył w tej deszczowej chmurze
I rosy kropelkami drżą zmoczone liście.

Lesie! Już znów szemrzą poważne twoje szumy,
Rozdzwoniło się ptaków śpiewne zawodzenie,
Czuć błogość, w której każdy śni ważkie zadumy.

Lesie rozśpiewany! Przedziwne twoje pienie,
Brzmiące, jak organy wczas uroczystej sumy!
Jaśnieje w tobie piękno. Przeszło już zniszczenie.

Ideowa i samopomocowa działalność Akademickich Kół Prowincjonalnych.

Akademickie Koła Prowincjonalne istnieją na Uniwersytecie od szeregu lat i zdołały wyrobić sobie zdecydowany kierunek postępowania. Praca A. K. P. idzie głównie w kierunkach: ideowym i samopomocowym. Pod względem ideowym Koła mogą zdziałać wiele i z pożytkiem dla państwa. Chodzi tu głównie o działalność kulturalno-oświatową. Szczególnie na wsi otwiera się pole do działania. Akademik, jako jednostka o wyższej kulturze i inteligencji, zorganizowany, jeżeli obierze należyty kierunek, może położyć na tem polu olbrzymie wprost zasługi. Jakże pojmują to zadanie Akademickie Koła Prowincjonalne? Najwięcej można osiągnąć przez wejście w bezpośredni

kontakt z młodzieżą, jako z elementem, który ma stanowić przyszłość. Organizacje młodzieży ludowej istnieją u nas od dawna i osiągają pozytywne wyniki pracy. Z organizacjami temi współpracuje młodzież akademicka w czasie pobytu na prowincji. Zaznaczyć należy, że młodzież wiejska chętnie przykłada się do pracy, jeżeli ofiaruje się jej pomoc, której rzeczywiście potrzebuje.

W łonie A. K. P. zorganizowane są Sekcje kulturalno-oświatowe, których zadanie leży w pracy na terenie prowincji. Sekcje te swój cel starają się osiągnąć przez wygłaszanie odczytów, organizowanie przedstawień, wieczorów i t. p. A. K. P. zgłaszają również akces do T. S. L. i stąd czerpią dużą pomoc i ułatwienie, przez możność korzystania z przezroczy i bibljoteki T. S. L. Ponadto wypożyczają A. K. P. bibljoteki Organizacjom młodzieży wiejskiej. Ideowa działalność A. K. P. idzie jeszcze w kierunku samowychowania i samokształcenia, przez zgodną współpracę i chętne wykonywanie obowiązków, jakie nakładają na członków.

Teraz należy jeszcze wspomnieć o działalności samopomocowej A. K. P. Niektórzy nazywają ją nawet głównym celem istnienia A. K. P. choć w rzeczywistości tak nie jest. Wprawdzie nie należy pracy w tym kierunku wysuwać na plan ostatni, lecz bezsprzecznie nie jest ona ważniejszą od omówionej poprzednio pracy ideowej. Akademickie Koła Prowincjonalne zabiegają gorąco i ustawicznie by zdobywać fundusze na cele samopomocy, to jest dla niesienia pomocy materjalnej kolegom niezamożnym i rzeczywiście jej potrzebującym. Działalność ta zaznacza się w dawaniu bezzwrotnych subwencyj, pożyczek długo- i krótko-terminowych; naturalnie w miarę posiadanych funduszów. Ponadto Koła przez udział w Sekcji Samopomocowych Akademickich Kół Prowincjonalnych, założonych niedawno przy Bratniej Pomocy U. U. J. mają wpływ na przyznawanie mieszkań w domach akademickich oraz przy udzielaniu pożyczek przez Bratniaka. Koła wydają opinję o danym petencie i ustanawiają listę pierwszeństwa.

Fundusze do działalności samopomocowej Koła zdobywają przez urządzanie imprez dochodowych, jak przedstawienia, zabawy, dancingi, koncerty, loterje i t. p. Pozatem dużą pomoc zawdzięczają Koła, zorganizowanym przez starsze Społeczeństwo na terenie powiatów t. z. Kołom czy Komitetom Pomocy Akademika.

Odczyty, wchodzące w zakres działalności kulturalno-oświatowej urządza się zazwyczaj bezpłatnie albo za mimimalnemi wstępami tylko celem pokrycia kosztów wypożyczenia materjału odczytowego.

Działalność Kół postępuje wyraźnie naprzód. Potrzeba jednak więcej „kapłanów Idei", którzyby żywe hasła ponieśli między potrzebujące rzesze, owiani nimbem apostolstwa dla sprawy, która wiele dobrego przyniesie Ojczyźnie.

W Krakowie, dnia 8 maja 1929 r.

JÓZEF JARMUŁA.

Zbiórka.

(Z życia harcerskiego).

Druh Drużynowy zapowiedział zbiórkę. Posłuszni rozkazowi zbieramy się na podwórzu gimnazjalnem, coś o godzinie kwadrans na piątą. Ponieważ druha Drużynowego jeszcze niema i pozostaje chwil kilka do oznaczonej pory, siadamy na podmurowaniu parkanu i rozpoczynamy bardzo poważną rozmowę na temat lekcji niemieckiego. Nagle któryś z druhów wrzeszczy: „Hesiu, która godzina?" Druh „Heś" zmruża oczka i mile się uśmiecha, dumny widocznie z tego, że sam w tak dużem towarzystwie może nam tak ważnej wiadomości udzielić. Ale, jakby chciał naszą ciekawość zaostrzyć, ociąga się jakoś. O, biedny „Heś", byłby tego szczerze pożałował! Ale jakoś do tego nie dochodzi, bo chociaż kilkadziesiąt rąk zatapia się w kieszeniach jego marynarki, na szczęście zardzewiały już łańcuszek rwie się i w ten sposób zegarek dostaje się do naszych rąk. Ale teraz nowa trudność. W żaden sposób nie możemy go otworzyć, aż dopiero druh „Selim" wpada na doskonały pomysł. Bierze za przerwany łańcuszek i leciutko spuszcza zegarek zgóry na mur. Jakby pod wpływem jakiejś czarodziejskiej siły momentalnie się otwiera. Patrzymy z ciekawością — zegarek, choć z małemi przestankami — idzie. Patrzymy bliżej — o Boże! Mała wskazówka na godzinie jedenastej, duża na szóstej. Ze zdziwieniem spoglądamy na siebie; cóż to? czy —, żeśmy może jakim nienaturalnym obrotem ziemi rzuceni na drugą półkulę? Ale nie! Słońce ma się już ku zachodowi. Właściciel, widząc nasze zdumienie, uśmiecha się tajemniczo i rzecze: „Aleście niemądrzy, to jest doskonały zegarek, tylko że wskazówki nie chcą się obracać. Chcecie więc, żebym Wam powiedział która godzina, to niech skoczy któryś do tercjana i przypatrzy się dobrze, gdzie w obecnej chwili znajdują się wskazówki". My w śmiech, a „Heś" chmurzy

czoło i już usta otwiera, aby wybuchnąć, gdy wtem z za parkanu ukazuje się postać Drużynowego. Uroczyście się witamy i pociągamy w kierunku sali harcerskiej. Sala odświeżona wionie miłym, orzeźwiającym chłodem. Zrzuciwszy płaszcze i czapki zaczynamy wesołą pogawędkę, ale, niestety, komenda: „Baczność! Wszystko, co nasze! — przerywa nam ją i głuszy wszelkie szmery. Stojąc nieruchomo, śpiewamy z wszystkich sił i na całe gardła, że aż szyby dźwięczą. Po skończeniu pieśni lokujemy się gdzie kto tylko może. Jeden tylko druh „Selim" gorliwy i obowiązkowy bibljotekarz nie szuka dla siebie miejsca. Druh Drużynowy, zająwszy miejsce wśród starszyzny, omawia sprawę zlotu poznańskiego, z czego nic nas tak nie przejmuje radością, jak wiadomość że popis nasz w Poznaniu ograniczy się tylko do sygnalizacji i śpiewów. Szczególnie z tego drugiego jesteśmy ogromnie zadowoleni. Nie wszyscy jednak radość naszą podzielają, mianowicie druh „Selim". Ktoś zagwoździł mu klucz od bibljoteki i mimo zastosowania wszelkich sposobów, czyto wydłubywania gwoździem, czy nożem czy nawet paznokciem, próżny okazuje się wysiłek. Uparty jednak druh, niezwracając zupełnie uwagi na upomnienia Drużynowego, nie daje za wygraną. Stuka nim o obcas, o okno, w nadziei uczynienia z niego „porządnego klucza", niestety nadal bez skutku. Ostatecznie, gdzieś przy końcu zbiórki udaje się „Selimowi" dokonać swego. Byłby to jednak łatwo przepłacił wyrwaniem, albo złamaniem kilku, a conajmniej dwóch zębów. Na szczęście nic podobnego u druha nie widzimy. Uzębienie jego jest zupełnie silne, nieuszkodzone, mógłby całkiem dobrze kamienie gryźć. Ale dajmy już temu „Selimowi" spokój!

Druhowie, znudzeni trochę dość długim śpiewem, zaczynają poziewać. Nagle ostra komenda Drużynowego: „Baczność! Modlitwa harcerska!" — ożywia wszystkich i zupełnie trzeźwi stajemy ze wzrokiem utkwionym w Drużynowego. Po prześpiewaniu wyżej wspomnianej i jeszcze jednej: „Idzie noc" z okrzykiem: „Czuwaj!" opuszczamy salę i rozchodzimy się, każdy w swoją stronę.

BOLESŁAW MIGA (kl. V).

KRONIKA.

Duchy w drukarni.

Stanowczo w drukarni naszej straszą djabły i chochoły drukarskie; to one są winne, że w numerze I-szym „Dziewanny" znalazło się sporo błędów, które zresztą każdy z łatwością może sobie sprostować; najbardziej rażącym był błąd: „w IX", zamiast „w. XIX" w podtytule art. „Przed zapaloną rampą" na str. 6 — Pocieszmy się, że „białym krukiem" jest druk bez błędów. Gdy w Londynie ogłoszono przed kilku laty konkurs na Pismo Święte, wydrukowane bez żadnej omyłki — istotnie została wydana taka biblja, ale sąd konkursowy nagrodzić jej nie mógł, bo jednak był błąd... i to w samym tytule. Kto winien? Duchy w drukarni.

†

Ś. p.

Aleksander Stesłowicz

profesor gimnazjum państwowego im. St. Konarskiego i pryw. Seminarjum naucz.-żeńsk. w Mielcu, członek Towarzyst. Naucz. Szkół Średnich i Wyższych, zmarł d. 22 maja 1929 r. po krótkich cierpieniach w 49 r. życia.

Cześć Jego pamięci!

ROZRYWKI.

Szarada I.

(Podał J. Kornreich, IVa).

Pierwsza — to zwykłe przeczenie,
Trzecia z czwartą — to dobre jedzenie,
Druga — to krzew bardzo pachnący,
Zaś piąta bez spółgłoski — to był mistrz rzeźbiący.
Całość odstrasza tylko takich ludzi,
W których sercach ciągle obawa się budzi.

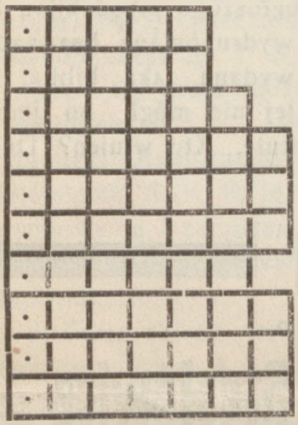
Szarada II.

(Podał M. Schmidt, IVa)

Pierwsze z drugiem — wielka chęć, co szybko mija,
Drugie z trzeciem — nazwa kija.
Wszystko to będzie rzecz dobrze nam znana,
Do ognia zdobycia dziś używana.

Łamigłówka.

(Podał M. Schmidt, IVa)



1) Ptak domowy.
2) Jezioro w Rosji.
3) Rzeka w Polsce.
4) „Miasto" w jęz. martw.
5) Rodzaj obrazu.
6) Nazwisko artysty polsk.
7) Rodzaj kalendarzy.
8) Góra w Polsce.
9) Jednostka fizyczna
10) Filozof w IV w. po Chr.

Litery w kratkach oznaczonych kropkami dadzą nazwisko poetki polskiej.

Szarada III.

(ułożył J. Wysocki, VIa)

1) . X .
1) . . X . .
3) . . . X . . .
4) . . . X . . .
5) . . . . X . . . .
6) . . . . X . . . .
7) . . . X . . .
8) . . X . .
9) . X .

Znaczenie wyrazów.

1) Rodzaj utworu poetyckiego, dziś prawie nie używanego, wyrażającego uczucie uwielbienia lub czci.
2) Rzeka w Rosji półn., wpadająca do Morza Białego.
3) Inaczej karzełek.
4) Pęknięcie w skale skutkiem wietrzenia lub znaków tektonicznych.
5) Związki węgla z wodorem.
6) Ustrój społeczno-polityczny, rozpowszechniony w IX — XII w. we wszystkich niemal krajach zachodnio-europejskich.
7) Dawna polska miara pojemności.
8) Rzeka w Afryce środkowej.
9) Rodzaj sieci rybackiej.

Litery środkowe (zastąpione krzyżykami) mają dać nazwę miesięcznika młodzieży szkolnej.

Wydawca Państw. Gimnazjum im. St. Konarskiego w Mielcu. Red. odp. Kurator Czytelni Prof. Dr. Szczygieł Wł.

Na czele Komitetu Redakcyjnego stoją: Kryczyński St. (VIII b) i Skuza W. (VIII a)

Odbito czcionkami Maksymiljana Fiałkowskiego w Mielcu.